

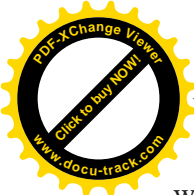
Książka ta wyznacza nowy kurs, opierając się na starej idei. Każdy człowiek przychodzi na świat wezwany. Owa idea pochodzi od Platona; została zaczerpnięta z jego mitu o Erze, który przytacza on na zakończenie swojego najbardziej znanego dzieła, *Państwa* (gr. *Politeja*). Ideę tę mogę zawrzeć w łupinie orzecha – zwięźle ją opisać.

Przed narodzeniem duszy każdego z nas przydzielony zostaje osobisty dajmon, który wcześniej wybrał dla nas obraz czy też wzór, według którego mamy żyć na ziemi. Ów towarzysz duszy, dajmon, jest naszym przewodnikiem na tym świecie. Po urodzeniu zapominamy o wszystkim, co zdarzyło się wcześniej, tak że później sądzimy, iż przychodzimy na świat całkowicie sami, bez żadnego opiekuna. Dajmon pamięta jednak to, jak wygląda ów obraz i co przynależy do danego nam wzoru życia, i dlatego to właśnie on jest nośnikiem naszego przeznaczenia.

Jak pisze Plotyn (205–270), najwybitniejszy przedstawiciel późnego platonizmu, sami wybraliśmy sobie ciało, rodziców, a także miejsce i okoliczności urodzenia, które najbardziej odpowiadają naszej duszy, oraz, jak mówi mit, wynikają z przypisanej jej konieczności. To zdaje się świadczyć o tym, że wszystkie okoliczności, łącznie z ciałem i rodzicami, których możemy przeklinać, są wynikiem wyboru dokonanego przez naszą własną duszę – my zaś nie pojmujemy tego w ten sposób, ponieważ o wszystkim zapomnieliśmy.

Tak więc, aby odświeżyć nam pamięć, Platon opowiada mit o Erze (fragment mitu na stronie 82) i w ostatnim fragmencie *Państwa* mówi, że ocalając ów mit, przyczyniamy się do ocalenia samych siebie i zapewnienia sobie szczęśliwego życia. Innymi słowy, ów mit ma zbawczą funkcję psychologiczną, a wypracowana na jego podstawie psychologia może stanowić siłę inspirującą ufundowane na nim życie.

Mit Platona skłania również do wielu praktycznych posunięć. Najbardziej praktyczne znaczenie ma kultywowanie zawartych



w nim *implicite* idei oraz odwoływanie się do nich przy analizowaniu naszej biografii – idei powołania, duszy, dajmona, losu/przeznaczenia, konieczności; każdą z nich zajmiemy się bliżej na kartach tej książki. Z mitu wynika również, że powinniśmy z wielką uwagą przyglądać się dzieciństwu, by móc uchwycić najwcześniejsze przejawy działalności dajmona, właściwie rozumieć jego intencje i nie stawiać mu przeszkód na drodze. Reszta praktycznych implikacji nasuwa się niejako sama:

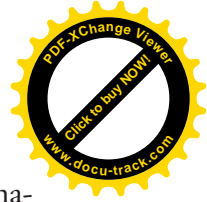
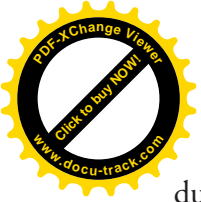
- (a) Uznać powołanie za podstawowy i najbardziej znaczący fakt ludzkiej egzystencji;
- (b) Odpowiednio dostosować do niego swoje życie;
- (c) Odnaleźć w sobie dostatecznie dużo zdrowego rozsądku, by zrozumieć, że wszelkie wypadki i niespodziewane zdarzenia – również takie jak atak serca czy „tysiące tych wstrząsów, które dostają się ciału w spadku natury”<sup>5</sup> – stanowią integralną część wzoru tworzącego ów wrodzony obraz, są mu niezbędne, sprzyjają jego pełnemu urzeczywistnieniu.

Powołania można nie chcieć usłyszeć, można go unikać, od czasu do czasu nawet zupełnie o nim zapominać. Cokolwiek by się nie działo, w końcu da ono jednak znać o sobie i dojdzie do głosu. Wysunie swoje żądania i roszczenia, i będzie oczekiwało ich spełnienia. Twój dajmon cię nie opuści.

Od wieków poszukujemy odpowiedniego terminu na określenie tego rodzaju „wezwania/powołania”. Rzymianie nazywali je *genius* (geniusz); Grecy *dajmon*; chrześcijanie – aniołem stróżem. Poeci romantyczni, tacy jak John Keats, mówili, że powołanie pochodzi z serca, a Michał Anioł okiem swojej intuicji widział obraz w sercu osoby, którą rzeźbił. Neoplatonicy mówili o ciele wyobrażeniowym, *ochema*<sup>6</sup>, które niesie nas niczym wehikuł (jest „nośnikiem naszej

<sup>5</sup> Szekspir, *Hamlet*, tłum. Stanisław Barańczak (przyp. tłum.).

<sup>6</sup> Gr. „łódź, wóz, rydwan, pojazd, powóz” (przyp. tłum.).



duszy”<sup>7</sup>. Było ono osobistym nośnikiem czy też podporą. Inni nazywali to Boginią Losu, czyli Fortuną; jeszcze inni dżinnem, „złym nasieniem” i „demonem zwodzicielem”<sup>8</sup>. W starożytnym Egipcie była to dusza *ka* lub *ba*, z którą można było nawet porozmawiać. Pośród tych, których zwykło się nazywać Eskimosami, oraz innych przedstawicieli ludów, w których żywa jest tradycja szamańska, mówi się o duchu danej osoby, jej wolnej duszy, jej duszy zwierzęcej, jej duszy-oddechu.

Przed ponad wiekiem wiktoriański badacz religii i kultur Edward Burnett Tylor (1832–1917) pisał, że według „ludów prymitywnych” (jak wówczas nazywano przedstawicieli społeczeństw preindustrialnych) to, co my nazywamy „duszą”, „to przezroczysty, bezcielesny obraz ludzki, a jego istota, będąca parą, tchnieniem lub cieniem, jest przyczyną życia i myślenia istoty, w której przebywa... najczęściej jest on nieuchwytny i niewidzialny, czasami jednak ujawnia także siłę fizyczną”<sup>9</sup>. Żyjący w późniejszym czasie etnolog i antropolog Åke Hultrantz, który zajmował się głównie badaniem kultur Indian amerykańskich, pisał, że według ich wierzeń dusza „bierze swój początek w obrazie”, a także „zostaje poczęta w formie obrazu”<sup>10</sup>. W micie o Erze Platon posługuje się podobnym słowem, *paradeigma*<sup>11</sup>, które oznacza rodzaj podstawowej formy obejmującej cały los danej osoby (wzorcowa forma losu). Choć ów towarzyszący nam obraz, który niczym cień unosi się nad naszym życiem, jest nosicielem naszego losu i przeznaczenia, nie jest on czymś w rodzaju strażnika naszej moralności ani też nie należy go mylić z naszym sumieniem.

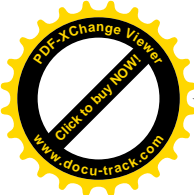
<sup>7</sup> E.R. Dodds, *Proclus: The Elements of Theology*, 2. wydanie, Oxford: Oxford Univ. Press, 1963, ss. 313–321 [patrz: Proklos, *Elementy teologii*, Warszawa 2002].

<sup>8</sup> Tak, Kartezjusz (przyp. tłum.).

<sup>9</sup> Edward B. Tylor, *Primitive Culture*, vol. 1 (London, 1871), s. 387. [wyd. pol. *Cywilizacja pierwotna*, t. 1–2, tłum. Z.A. Kowerska Warszawa 1896–1898].

<sup>10</sup> Åke Hultrantz, *Conceptions of the Soul Among North American Indians*, Stockholm: Statens Etnografiska Museum, 1953, s. 387.

<sup>11</sup> Gr. „wzór, model, plan, idea (platońska), odbicie, kopia, przykład” (przyp. tłum.).



Rzymski *genius* też nie był moralistą. Choć „wiedział on wszystko o przyszłości danej osoby i kontrolował bieg jej losu”, to jednak „owo bóstwo nie narzucało żadnej sankcji moralnej; było ono jedynie czymś w rodzaju agenta jej osobistego szczęścia i powodzenia. Dlatego można było zwracać się doń, bez obawy potępienia z jego strony, o spełnianie również całkiem nagannych czy też egoistycznych pragnień”<sup>12</sup>. W Rzymie, Afryce Zachodniej i na Haiti można było z powodzeniem poprosić swojego dajmona (czy jak tam nazywano owego ducha) o wyrządzenie szkody wrogowi, sprowadzenie nań nieszczęścia, zniweczenie jego planów lub o pomoc w jakichś machlojkach czy próbie uwiedzenia kogoś, kto akurat wpadł nam w oko. Owym „złym” aspektem dajmona zajmiemy się bliżej w jednym z kolejnych rozdziałów („Złe Nasienie”).

Koncepcja tego rodzaju zindywidualizowanego obrazu-duszy ma długą, skomplikowaną historię; pojawia się ona w kulturach bardzo różnicowanych pod względem charakteru i miejsca występowania, przy czym owemu obrazowi nadaje się różnego rodzaju nazwy i określenia. To tylko nasza współczesna psychologia i psychiatria całkowicie pomijają to zagadnienie, nie poświęcając mu ani słowa w swoich podręcznikach. Badania i terapia psyche w naszym społeczeństwie kompletnie ignorują ów czynnik, który w innych kulturach uważany jest za najważniejszy składnik, samo jądro charakteru, za strażnika i powiernika czuwającego nad losem jednostki. Co paradoksalne, o głównym przedmiocie zainteresowania psychologii, psyche, czyli duszy, niczego nie pisze się w książkach poświęconych rzekomo badaniu jej istoty oraz trosce o nią.

Na określenie żołądza, o którym tu mowa, będę używał wielu terminów – obraz, charakter, los, geniusz, powołanie, dajmon, dusza, przeznaczenie – posługując się nimi mniej lub bardziej wymiennie, preferując jeden lub drugi w zależności od danego kontekstu. Tego rodzaju bardziej swobodny sposób traktowania tego

---

<sup>12</sup> Jane Chance Nietzsche, *The Genius Figure in Antiquity and the Middle Ages*, New York: Columbia Univ. Press, 1975, ss. 18, 19.

pojęcia odpowiada stylowi znanemu z innych, często starszych kultur, mających znacznie lepsze wyczucie owej enigmatycznej siły, która przejawia się w ludzkim życiu, niż nasza współczesna psychologia, mająca tendencję do zawężania rozumienia złożonych zjawisk i ujmowania ich istoty w jak najprostsze, jednoznaczne definicje. Nie bójmy się owych wielkich rzeczowników; czujemy przecież, że nie są puste, lecz przeciwnie, obdarzone potężną wewnętrzną treścią. Zostały jedynie porzucone i zapomniane, i teraz należy tylko przywrócić im ich dawną godność, pozycję i znaczenie.

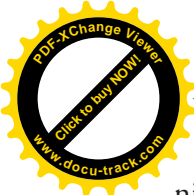
Tych wiele słów i nazw nie mówi nam o tym, *czym* „to” jest, potwierdza jednak fakt, że „to” istnieje. Wskazują one również na jego tajemniczą i zagadkową naturę. Nie możemy wiedzieć, do czego się dokładnie odnosimy, ponieważ jego natura pozostaje ukryta w cieniu, jest niejasna i zagadkowa, ujawnia się najczęściej tylko poprzez przecucia, intuicje, podszepty, nagłe impulsy i osobliwe zachowania, które zaburzają nasze życie i które przywykliśmy nazywać symptomami.

Zastanówmy się nad takim oto zdarzeniem. Wieczór Amatorów w Harlem Opera House. Na scenę wchodzi wyraźnie przestraszona, chuda, niezgrabna w ruchach szesnastolatka. Publiczność słyszy zapowiedź: „Przed państwem następny uczestnik, młoda dama nazwiskiem Ella Fitzgerald... Panna Fitzgerald zatańczy przed nami... Chwileczkę, chwileczkę. Co się stało, skarbie?... Proszę państwa drobna korekta. Panna Fitzgerald zmieniła zdanie. Nie będzie tańczyć, lecz zaśpiewa...”

Ella Fitzgerald wykonała piosenkę, trzykrotnie bisowała, po czym zdobyła pierwszą nagrodę. A przecież „początkowo planowała zatańczyć”<sup>13</sup>...

Czy to przypadek, że w ostatniej chwili zmieniła zdanie? Może nagle w jej organizmie uruchomił się „śpiewaczy gen”? A może w tamtej chwili Ella Fitzgerald doznała czegoś w rodzaju objawie-

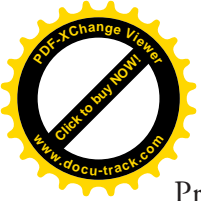
<sup>13</sup> Sid Colin, *Ella: The Life and Times of Ella Fitzgerald* (London: Elm Tree Books, 1986), s. 2.



nia, wzywającego ją do zrobienia tego, co było zgodne z jej przeznaczeniem?

Pomimo oporów, które nie pozwalają w zakres badań włączyć losu jednostki, psychologia uznaje, owszem, że każdy z nas ma swoją własną odrębną, osobniczą naturę, że każdy z nas jest ściśle, może nawet nazbyt ściśle, określonym, unikalnym indywiduum. Kiedy jednak chodzi o wyjaśnienie istoty owej tkwiącej w nas iskry unikalności i jedyności oraz owego wezwania, które nakazuje nam działać zgodnie z jej wskazaniem, wówczas psychologia nie potrafi sobie z tym poradzić i ma poważny problem. Metody analityczne pozwalają jej na rozbicie puzzli, z jakich składa się każde indywiduum, na poszczególne czynniki i cechy osobowości, na typy, kompleksy i temperamenty, na podejmowanie prób odkrycia sekretu indywidualności w różnych warstwach materii mózgowej oraz w „samolubnych genach”. Bardziej radykalne szkoły psychologiczne w ogóle nie zajmują się tego rodzaju kwestiami, odmawiając im wstępu do swoich laboratoriów, odsyłając je do dziedziny parapsychologii i uznając „powołanie” za zjawisko o charakterze paranormalnym lub też pozostawiając je w wyłącznej gestii naukowców prowadzących badania w tak odległych i egzotycznych „zamorskich koloniach” jak magia, religia czy szaleństwo. W swych najśmielszych i jednocześnie najbardziej jałowych próbach psychologia w celu wyjaśnienia unikalności każdego z nas odwołuje się do hipotezy mierzalnej statystycznie zmiennej losowej.

W książce tej sprzeciwiam się, by kwestię poczucia indywidualności, jaka leży u podstaw każdego „ja” i stanowi o jego istocie, powierzać pracownikom laboratoriów psychologicznych. Nie zgadzam się również z tym, że jedyne w swoim rodzaju i drogocenne ludzkie życie jest rezultatem statystycznego prawdopodobieństwa i przypadku. Proszę jednak zwrócić uwagę, że sprzeciw nie oznacza, że składamy dłonie jak do modlitwy i oddajemy się pod opiekę jakiegoś kościoła. Kwestia powołania, czyli wezwania do spełniania swojego indywidualnego przeznaczenia, nie ma nic wspólnego z podziałem na pozbawioną wiary religijnej naukę i nienaukową wiarę.

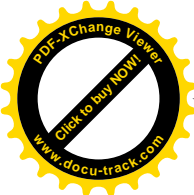


Problem indywidualności każdego człowieka pozostaje tematem zainteresowania psychologii – jednak takiej psychologii, która wierna jest pierwszemu elementowi, z którego składa się jej nazwa, „psyche”, oraz jej głównej przesłance, duszy, tak że jej umysł może wyznawać swoją wiarę bez zinstytucjonalizowanej Religii oraz praktykować swoją wnikliwą obserwację zjawisk bez zinstytucjonalizowanej Nauki. Teoria żołądźcia lokuje się zgrabnie dokładnie pomiędzy tymi dwoma starymi, rywalizującymi ze sobą i zwalczającymi się dogmatami, które od wieków zajadłe oszczekują się nawzajem i z którymi myśl Zachodu w żaden sposób nie potrafi się rozstać – jak z ulubionymi czworonogami.



Teoria żołądźcia zakłada, postaram się dostarczyć na to przekonujących dowodów, że ty i ja, podobnie jak każdy inny człowiek, rodzimy się ze ściśle określonym obrazem samych siebie, który następnie definiuje nasze istnienie. Indywidualność zawiera się w przyczynie formalnej – by posłużyć się językiem filozoficznym wypracowanym przez Arystotelesa. Każdy z nas ucieleśnia swoją własną ideę, wyrażając się językiem Platona i Plotyna. A owa forma, owa idea, ów obraz nie tolerują tego, kiedy je zaniedbujemy i koncentrujemy się na czym innym. Teoria żołądźcia przydaje również owemu wrodzonemu obrazowi rodzaj anielskiej czy może dajmonicznej intencji, tak jakby obdarzony on był iskrą świadomości; a także, co więcej, utrzymuje, że nasz osobisty interes leży mu na sercu, ponieważ wybrał on nas właśnie ze względu na leżące u jego podstaw pobudki.

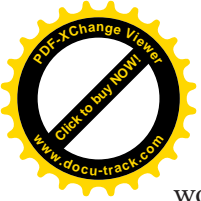
Założenie, zgodnie z którym dajmonowi leży na sercu nasz osobisty interes, jest tą częścią teorii żołądźcia, którą wyjątkowo trudno zaakceptować. To, że serce ma swoje pobudki, w porządku; że istnieje rodzaj nieświadomości mający swe własne intencje; że los/przeznaczenie wpływa na bieg zdarzeń i obrót spraw – wszystko to jest akceptowalne, ma wręcz charakter konwencjonalny i jest niemal powszechnie przyjęte.



Bardzo trudno jednak wyobrazić sobie, że coś się o nas troszczy, że coś interesuje się tym, co robimy, że być może znajdujemy się pod czyjąś opieką i ochroną, że może nawet żyjemy nie tylko dzięki swojej własnej woli i swoim własnym uczynom. Dlaczego przedkładamy polisę ubezpieczeniową nad tego niewidzialnego gwaranta i strażnika naszego istnienia? Umrzeć z pewnością jest łatwo. Ułamek sekundy nieuwagi i wszelkie doskonale wykoncypowane plany silnego ego biorą w łeb, my zaś leżymy martwi na ulicy. Każdego dnia coś chroni nas przed spadnięciem ze schodów, potknięciem się o krawężnik, potrąceniem przez samochód na przejściu dla pieszych. Jak to możliwe, że pędzimy samochodem po autostradzie, wyśpiewujemy na cały głos słowa piosenki, której właśnie słuchamy na odtwarzaczu, myślami jesteśmy zupełnie gdzie indziej i mimo to udaje nam się przeżyć? Czym jest ów „system immunologiczny”, który codziennie nad nami czuwa, podczas gdy zajadamy się potrawami, w których nie brakuje najrozmaitszych wirusów, toksyn i bakterii? Hordy roztoczy pasożytują nawet na naszych brwiach, niczym małe bąkojady na ciele nosorożca. To, co nas chroni i zachowuje przy życiu, nazywamy instynktem samozachowawczym, szóstym zmysłem, świadomością podprogową (choć każdy z tych czynników również jest niewidzialny, jesteśmy przeświadczeni o ich istnieniu). Kiedyś, w przeszłości, tym, co tak skutecznie się o nas troszczyło, był duch opiekuńczy, zwany aniołem stróżem, my zaś doskonale wiedzieliśmy, w jaki sposób powinniśmy oddawać mu należną cześć i go szanować.

Mimo obecności owego niewidzialnego opiekuna wolimy wyobrazić sobie, że zostajemy wrzuceni na ten świat nadzy i samotni, całkowicie bezbronni i pozbawieni jakiegokolwiek ochrony. Znacznie łatwiej przychodzi nam zaakceptować opowieść o heroicznych zmaganiach, dochodzeniu do sukcesu, w którym wszystko zawdzięczamy wyłącznie samym sobie, niż opowieść o tym, że być może jesteśmy kochani i prowadzeni przez życie przez opatrnościowego opiekuna, który czasami, w wyjątkowo trudnych sytuacjach, okazuje nam niezbędną pomoc oraz kieruje naszymi postępkami. Czy



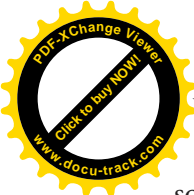


wolno mi skonstatować ów powszechnie znany fakt bez cytowania słów jakiegoś guru, powoływania się na autorytet Chrystusa czy mówienia o cudzie duchowego odrodzenia? Dlaczego psychologia w swoim głównym nurcie nie powinna zajmować się także i tym, co niegdyś nazywano opatrnością – tym, że pozostajemy pod nieustannym nadzorem troszczącej się o nasze dobro wszechwiedzącej siły duchowej?

Najbardziej przekonujących dowodów na rzecz prawdziwości założeń, na jakich opiera się psychologia opatrności, dostarczają dzieci. Mam tu na myśli coś więcej niż opatrnościowe cuda, owe zdumiewające opowieści o dzieciach, którym nic się nie stało, mimo że spadły z dużej wysokości, a następnie przez długi czas przebywały przysypane pod gruzami zniszczonego przez trzęsienie ziemi domu. Chodzi mi raczej o „banalne”, „zwyczajne” cuda – momenty, gdy nagle ujawniają się specyficzne cechy charakteru dziecka. Nagle i niespodziewanie, na pozór zupełnie bez przyczyny, mały chłopiec lub mała dziewczynka demonstrują światu, kim naprawdę są i co muszą zrobić.

Owe impulsywne przejawy przeznaczenia bywają często tłumione przez dysfunkcyjne reakcje, niewrażliwość i brak receptywności ze strony otoczenia, ponieważ powołanie przejawia się poprzez mnóstwo symptomów, jakie wykazują tzw. trudne, mające tendencję do autodestrukcyjnego zachowania, wyjątkowo podatne na wypadki, „hiperaktywne” dzieci – wszystkie te terminy zostały wymyślone przez dorosłych, starających się za wszelką cenę usprawiedliwić tworzone przez siebie, a wynikające z braku zrozumienia istoty rzeczy, koncepcje. Teoria żołądzia proponuje całkowicie świeży, nowatorski sposób traktowania zaburzeń rozwojowych dzieci – nie tyle w kategoriach przyczyny i skutku, ile w kategoriach powołania, nie tyle w kategoriach wpływów z przeszłości, ile w kategoriach intuicyjnych objawień.

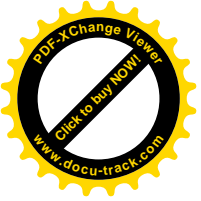
Oдноśnie dzieci i psychologii dziecięcej – chciałbym, żeby z naszych oczu opadły łuski przyzwyczajenia i rutyny (a także zamaskowanej nienawiści, która w nas tkwi). Chcę, żebyśmy wyobrazili



sobie, że to, przez co przechodzą dzieci, ma związek ze znajdowaniem swojego własnego, odpowiadającego specyficznie ich powołania miejsca w świecie. Dzieci starają się prowadzić jednocześnie dwa życia; to, wraz którym przyszły one na świat, i to, które związane jest z miejscem i ludźmi, pośród których przyszło im żyć. Cały obraz przeznaczenia danej osoby upakowany jest we wnętrzu małego żołądka; nasienie ogromnego dębu spoczywa na bardzo wątych barkach. Przy tym jego wezwanie rozbrzmiewa głośno, jest nieustępliwe i ma równie natarczywy i ponaglący charakter, co jakiś dochodzący do dziecka z zewnątrz stanowczy głos, który kategorycznie przywołuje je do porządku. Owo wezwanie/powołanie manifestuje się u dzieci w napadach złości i nieprzejednanym uporze albo w nieśmiałości i wycofaniu. Te symptomy zdają się stawiać je w opozycji w stosunku do naszego świata, a w istocie są zapewne środkami mającymi na celu ochronę i zabezpieczenie interesów życia, wraz z którym przyszły na ten świat, oraz tego świata, z którego pochodzą.

Książka ta bierze dzieci w obronę i opowiada się po ich stronie. Dostarcza teoretycznych podwalin niezbędnych do prawdziwego zrozumienia ich życia, podwalin, które z kolei same opierają się na mitach, filozofii, wiedzy innych kultur i wyobraźni. Starajmy się pojąć sens i znaczenie dziecięcych dysfunkcyjnych zachowań; nie traktujmy natury owych zaburzeń w sposób dosłowny i nie postulujmy natychmiastowego odsyłania dziecka do terapeuty, jak robią to inni.

Bez teorii, która od samego początku stanowi dlań wsparcie, oraz bez mitologii, która łączy je z czymś, co było przed jego zaistnieniem, dziecko przychodzi na świat jak zwykły produkt – w sposób przypadkowy lub zaplanowany, lecz całkowicie pozbawione swojej własnej autentyczności. Nękające je zaburzenia w takim wypadku również nie mają żadnej autentyczności, ponieważ dziecko nie pojawia się na świecie ze swoich własnych pobudek, dysponując swym własnym projektem rozwoju i prowadzone przez własnego duchowego opiekuna.



Teoria żółędzia kładzie podwaliny psychologii dziecka diametralnie odmiennej od dotychczas obowiązującej. Afirmuje ona rolę i znaczenie wrodzonej dziecku unikalności oraz przeznaczenia, co przede wszystkim oznacza, że również objawy kliniczne dotyczące dysfunkcyjnego zachowania dziecka stanowią, w taki czy inny sposób, integralny element owej unikalności i przeznaczenia. Wszelkie psychopatologie są równie autentyczne jak samo dziecko, nie zaś wtórne, przypadkowe czy uboczne. Pojawiając się wraz dzieckiem, a nawet dane temu a nie innemu dziecku, owe objawy kliniczne stanowią część daru, jaki otrzymało ono od losu. Oznacza to, że każde dziecko jest osobą obdarowaną przez los; posiada dar złożony z wszelkiego rodzaju potencjalnych, wstępnych przesłanek rozwojowych, specyficznych wyłącznie dla niego, które mogą przejawiać się na różne osobliwe sposoby, często przyczyniając się do zachowań świadczących o nieprzystosowaniu oraz powodując cierpienie.

Tak więc książka ta jest o dzieciach; proponuję w niej odmienny sposób ich postrzegania i traktowania, zachęcam do wejścia w ich świat wyobraźni, a także do odkrycia w dziecięcych patologiach tego, co stara się im przekazać i na co wskazuje dzieciom ich dajmon, oraz tego, czego oczekuje od nich ich przeznaczenie.

## POWOŁANIE

Oto dwie historie dzieci: pierwsza dotycząca angielskiego filozofa, R.G. Collingwooda (1889–1943) i druga o słynnym hiszpańskim toreadorze, Manoletem<sup>14</sup> (1917–1947). Pierwsza pokazuje, w jaki sposób dajmon wdiera się nagle w życie młodego człowieka; druga mówi o przebraniach, kamuflażach i pokrętnych sztuczkach, jakimi czasami się posługuje.

---

<sup>14</sup> Właściwie: Manuel Laureano Rodríguez Sánchez (przyp. tłum.).